

Wziąć urlop od życia?! Czy to możliwe?! Co to znaczy?! Tyle razy „wyjeżdżałem na urlop” – Włochy, Hiszpania, Grecja i ...nic. Wracam i włączam się w grę korporacji. Nakręcam sprężyny coraz bardziej i bardziej aż do granic wytrzymałości i znowu „wyjeżdżam na urlop”, żeby nie pękły i cała misterna maszynka nie rozsypała się w drobiazg. Jak długo jeszcze? Czy musi być tak jak w klasycznym podręczniku psychologii – prezes krzyczy na dyrektora, dyrektor krzyczy na mnie, ja wracam do domu i krzyczę na żonę i dzieci? Nie, nie musi. Ja organizuję wyprawy na wyspy buntownicze. Wyspy zaczarowane. Gdzie one są? Gdzieś tam... daleko od skądkolwiek. Gdzieś za horyzontem, gdzie niebo zlewa się z wodą w jedną nieprzebraną tęsknotę. Tęsknotę za wolnością bez nakazów i zakazów, obowiązków względem... i bezwzględnych zobowiązań. Miłości bez manipulacji, idealnej jak poranna rosa. Rzeczywistości doskonałej jak okręt pod pełnymi żaglami o zachodzie słońca. Każdy potrzebuje portu bezczelności w stosunku do skrzeczącej rzeczywistości, gdzie stoi zacumowany żaglowiec gotowy do odpłynięcia w kierunku wysp buntowniczych. Każdy z nas ma prawo do zaokrętowania się na tym żaglowcu. Obrania kursu pod odpowiednią szerokość wyobraźni i długość fantazji. Zejścia na ich wybrzeże...

Wchodzę na pokład. Słysząc piskliwy gwizdek bosmana i lekkie szarpnięcia kadłuba. Zachodzi słońce wśród unoszącej się nad wodą lekkiej mgiełki. Na nabrzeżu wkurzona twarz szefa, zafrasowana mina żony i zafascynowane oczy moich synów.

Stoję w lekkim rozkroku na rufie. Postacie znikają powoli za horyzontem, wśród zapadającego zmroku. Wraz z umykającą przestrzenią płynie czas. Wstecz? Dostrzegam wyryty na rufie żaglowca napis – HMS Bounty. „Dar”! Oglądam się za siebie. Przed dziobem, przesłonięty bukszprytem majaczy ląd. Słysząc chrapliwy głos z bocianiego gniazda „Islands! Islands!”. Poranna bryza niesie zapach wysp południowych. Słońce zapowiada swoje nadejście rzucając czerwoną poświatę na budzące się morze. Okręt wpływa łagodnym łukiem w cieśninę pomiędzy wyspami. Na prawej burcie słysząc głośny stukot łańcucha. Kotwica wpada do wody. Okręt płynie jeszcze siłą bezwładu. Po chwili zatrzymuje się z lekkim szarpnięciem. Teraz pozostaje mu tylko kołysanie się z burty na burtę pod dyktando pomarszczonego oceanu.

Głośnie chlupnięcia oznajmniają, że spuszczone szalupy na wodę. Ktoś napiera na mnie popychając w kierunku zwisającej z lewej burty drabinki. Bez zastanowienia wchodzę na drewniane szczeble i po kilkunastu krokach w dół czuję chybotałowe dno łodzi pod stopami. Siadam na ławce i łapię wiosło. Łódź załadowana po brzegi ciężko rozcina taflę podręcznikowo turkusowej wody. Z mlecznej, porannej mgły wyłania się piaszczysty brzeg. Łódź wbija się dziobem w miękkość plaży. Skrzynie z ładunkiem lądują na brzegu. Ktoś bez słowa, zdecydowanym ruchem ręki zatrzymuje mnie na pokładzie. Wracamy. Tym razem łódź sunie wesoło wśród plusku wiosła. Wchodzę na pokład okrętu. Słysząc donośny głos bosmana. Kotwica jęcząc swymi łańcuchami uwalnia żaglowiec z oków beczynności. Odpływamy pod grotżagle uciekając przed wschodzącym słońcem. Po chwili pozostałe żagle wydymają się na wietrze, jakby chciały wzbić się do lotu. Biegnę na rufę. Na horyzoncie widać strzępy lądu. Dziwne.. Nie czuję żalu. Za to rośnie we mnie przekonanie, że jeszcze tu wrócę. Odwracam się do dziobu. Gonimy poranną poświatę wyznaczającą kierunek powrotu. Z bocianiego gniazda słysząc zachrypnięty głos „Land! Land!” W oddali widać doki portowe. Okręt składa żagle niczym lądujący ptak.

Na nabrzeżu majaczą sylwetki pozostawionych przed wyprawą osób. Ich twarze są znane, ale jakby odmienione - radosne, bezpretensjonalne, świeże...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

maarynarz, dodano 27.08.2012 18:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.